Rok VI. Lwów, marzec 1929. Nr. 3.



PISMO DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

Przedwiośnie.

Jeszcze w śniegu kępy drzew —
już wiosenny śpiewam śpiew.

Śpią doliny w cieniu chmury,
a już w blasku stoją góry.

Jeszcze ziemia pełna grud,
już rozkwitu pachnie cud...

Serce moje wstało wcześnie —
woła was leżących we śnie.

Henryk Salz.

Książki do czytania dla dzieci i młodzieży.

Nowe i piękne książki są już do nabycia w księgarniach. Zakłady Wydawnicze M. Arcta w Warszawie, Nowy Świat 35 dały je wydrukować.

M. Buyno-Arctowa. Czytajmy sami. Krótkie powiastki dużym drukiem dla młodszych. Z obrazkami Romeykówny, w kolorowej okładce kartonowej. Cena zł. 3·—.

— Czytajmy sami. Część II. Cena zł. 3·—.

Marja Buyno-Arctowa. Na wąkacjach w Zalesiu. Powieść dla starszych dzieci. 26 rysunków Romeykówny. Cena w oprawie kartonowej zł. 5·—.

T. Pudłowski. Zochna w krainie śnieżek. Przygody wierszem, stron 30 i 10 kolorowych obrazków Sybilli Olfers, oprawa w karton. Cena zł. 6·—.

Z. Rogoszówna. Koszałki opałki. Wierszyki, piosenki i przypowiastki, z wielobarwnemi obrazkami, A. Gramatyki-Ostrowskiej, duży format w oprawie kartonowej. Cena zł. 7·—.

Marja Buyno-Arctowa. Fifinka, czyli Awantura arabska z ilustracjami Romeykówny. Cena zł. 5·—.

Bohdan Dyakowski. Przygody młodej kawki oraz inne opowiadania przyrodnicze z rysunkami. Cena zł. 5·—.

Kipling Rudyard. Takie Sobie Bajeczki, książka pierwsza. Cena opraw. w karton zł. 3·40.

— Takie Sobie Bajeczki, książka druga. Cena opraw. w karton zł. 3·40.

Jadwiga Chrząszczewska. Czary nie czary. Z rysunkami M. Bukowskiej. Cena zł. 4·40.

Gerson-Dąbrosiej. Laleczka z saskiej porcelany. Cena zł. 1·—.

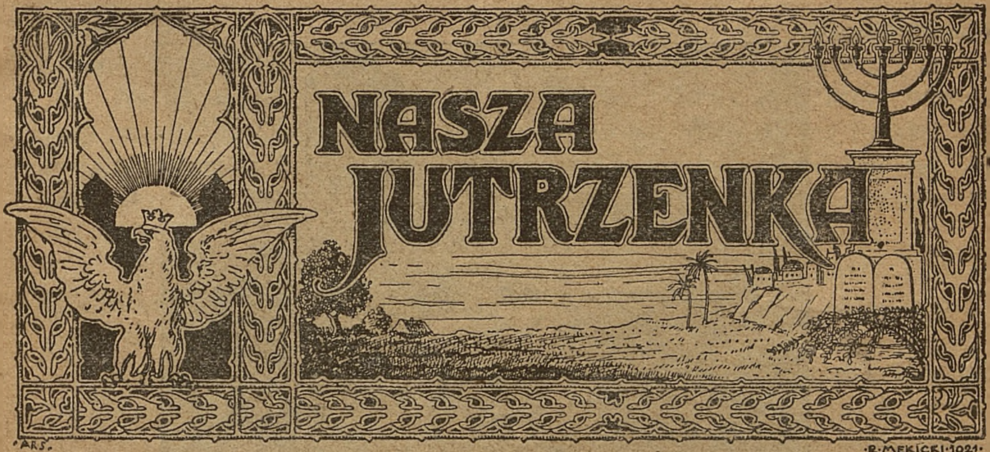
Janina Porazińska. Wesele Małgorzatki. Opowiadanie wierszem z 56 ilustracjami. Cena zł. 6·—.

A. Gawiński. Dziesięciu rycerzy. 87 ilustracyj. Cena zł. 6·60.

Marja Konopnicka. Historja o krasnoludkach.

Or-Ot. Zaczarowana królewna, baśń sceniczna. Cena zł. 4·80

Rok VI Lwów, marzec 1929. Nr. 3



PISMO DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

W dniu imienin Pierwszego Marszałka Polski.

Serca biją nam żywiej. Chwila jest uroczysta. Duszą całą i uwielbieniem wielkiem uczcimy dzień imienin ukochanego naszego Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego.

Za to, że nam wywalczył Wolne i Niepodległe Państwo Polskie, za to, że ciągle i nieustannie pracuje dla dobra Państwa, za troskę o byt Państwa i przyszłość Jego wreszcie za to serdeczne ukochanie nas, dziatwy, za pamięć ciągłą o nas, otwórzmy nasze serca w hołdzie serdecznym Wielkiemu Budowniczemu Polski w dniu 19 marca.

Hej! Hej! Komendancie, miły Wodzu nasz!.. jak nam życzyć, ażeby okazać w tym dniu uroczystym, że serca nasze są wezbrane wdzięcznością i miłością ku Tobie?..

Niech Ci tak miło każdy dzień mija,
Jak ten dzisiejszy Twego imienia,
I niech Ci zdrowie najlepsze sprzyja,
Takie są dzisiaj nasze życzenia.
Niech Polska będzie mocarstwem takiem,
Jakiem Ty, Wodzu, mieć Ją chcesz,
Niech Naród cały Twoim kroczy szlakiem,
A Ty z Niego dzielność i ducha krzesz.



Pierwszy Marszałek Polski Józef Piłsudski.

KAZIMIERA KAWECKA.

Racławice.

Gdyby do domu rodziców waszych przyszedł jakiś obcy i oświadczył: „od dzisiaj jestem gospodarzem tego domu, musicie mnie słuchać, nie wolno wam mówić waszym językiem, nie wolno modlić się wam w mowie ojców waszych“. Prawda, że byłoby to okropne i dla waszych rodziców i dla was. Serce bolałoby was, żal wyciskałby łzy z oczu waszych. Wreszcie powiedzielibyście. Oto wróg przyszedł bezprawnie do naszego domu, trzeba go wypędzić, niech idzie precz od nas! To samo pomyśleli sobie Polacy po drugim rozbiorze Polski w 1793 roku.

Z jednej strony żal za ojczyzną, z drugiej złość na wroga za niecny czyn, kazały im chwycić za broń. Działo się to w 1794 r.

Polacy postanowili pójść na Moskala, odebrać mu zabrane polskie ziemie. Taki czyn zbrojny nazywa się w historji powstaniem.

Na czele powstania stał wódz Tadeusz Kościuszko, który wezwał cały naród do broni, głosząc, że wszyscy mieszkańcy Polski, bez różnicy wyznania i pochodzenia są obowiązani do bronienia Jej niepodległości. I pospieszyli na jego wezwanie szlachta, lud polski i żydzi polscy.

Piękna to była chwila dnia 24 marca 1794 r., kiedy Tadeusz Kościuszko otoczony sztabem i wybitnymi obywatelami składał przysięgę na rynku krakowskim.

Po przysiędze powitano Naczelnika okrzykami radości, a gdy się uspokoili zgromadzeni, rzekł Kościuszko donośnym głosem:

— Mości panowie! W obronie Ojczyzny równość u mnie popłaca i dlatego tak żyd, chłop, szlachcic, ksiądz i mieszczanin równego są u mnie szacunku.

Słowa Wodza pobudziły lud do czynu.

Dnia 4 kwietnia 1794 przyszło do pierwszej większej rozprawy wojsk powstańczych z armją rosyjską pod Racławicami na północ od Krakowa. Pozycje Moskali były lepsze bo na wzgórzach; mimo to celne strzały armat polskich wywołały u nieprzyjaciela zamieszanie. Co widząc Kościuszko, zbliżył się do kosynierów krakowskich i zawołał:

— Chłopcy, zabrać im te armaty! Bóg i Ojczyzna! Naprzód wiara! Kosynierzy porwani odwagą wodza rzucili się na wroga.

Wieśniak z Rzędowic, Wojciech Bartos, dopadł z kosynierami pierwszy baterji armat rosyjskich. Czapką nakrył panewkę działa, bo już miał artylerzysta przybliżyć lont do panewki. Kosynierzy zdobyli osiem armat i dokazywali cudów waleczności. Polacy bitwę pod Racławicami wygrali.

Wojciecha Bartosa w nagrodę waleczności zamianował Naczelnik chorążym grenadjerów krakowskich i podniósł go do stanu szlacheckiego, nadając mu herb swój i nazwisko Głowacki.

Dalsze losy powstania z 1794 r są wiadome. Rosjanie zwyciężyli i dokonali trzeciego rozbioru Polski.

Jednak my z dumą wspominamy piękny ten okres walk o wolność w historji narodu naszego. Racławice są świetlanym obrazem w dziejach naszych.

Fr. Lazarusówna.

Papugi.

Jaś Grzyb długo myślał nad tem, jak tu urządzić przyobiecaną pani Amerykę w klasie i to tak, by pani była zadowolona. No, ale skoro młoda nauczycielka lubi skwar, to jasną było dla niego rzeczą, by się postarać o upał w klasie.

— Żeby mieć drzewo! — myślał Jasio, napaliłbym w piecach całej szkoły i urządziłbym skwar amerykański nietylko w jednej klasie, ale także i we wszystkich innych a nawet na korytarzach! Bo taki skwar, to przecie wielka uciecha, a jak się już raz robi przyjemność swojej klasie, to niechby już cała szkoła skorzystała. Jaś myśli, że gdyby mu się to udało, to chłopcy i nauczyciele zrzuciliby marynarki i siedzieliby sobie w klasie po amerykańsku.

— Szkoda, że to tak daleko po pnie! — Nagle przyszła mu na myśl paka szczęścia.

Zaraz nazajutrz przybiegł do szkoły o świcie, wydobył z paki różne papiery i szpargały, zaniósł je do klasy i napalił w piecu.

Na dworze było tak pięknie! Słońce dopiero wzeszło a już było ciepło, ale to Jasia nie mogło powstrzymać, musi, koniecznie musi urządzić Amerykę w klasie dlatego, bo przyrzekł, i z oczkami, błyszczącemi radością, z buzią na wpół rozchyloną uśmiechem zadowolenia, robił swoje.

— Niech się cieszą — myślał — ciepło jest dobrze, a dobrego nie ma się nigdy za dużo, i wybiegł znowu do paki szczęścia po nowy ładunek paliwa. Stoi Jaś przy pace, szuka i szpera między śmieciami i znalazł zeszyt! Był to zeszyt Wicusia, ten właśnie, nad którym Wicuś tak bardzo płakał, bo nie miał w nim ani jednego dobrego stopnia.

— Czy oddać go Wicusiowi? — myślał. Po chwili z nowym ładunkiem paliwa i ze zdobytym zeszytem biegł do klasy.

— Nie, nie oddam, bo poco? czy po to, aby sobie te swoje łzy przypomniał?

Z uczuciem wielkiego zadowolenia wrzucił Jaś do pieca Wicusiowy kajet i patrzał, jak kartki płoną.

— Dobrze mu tak — rzekł sam do siebie. Nagle najniespodzianiej w świecie poczuł, że się w górę unosi. Coś go chwyciło za kołnierz, i zanim zdążył się obejrzeć, to coś wystawiło go za drzwi i na domiar złego powiedziało na niego „smarkaczu“ i dało mu klapsa.

— Kto to taki?

Naturalnie, że pan Wincenty, który przyszedł zamiatać klasę.

— Panie Wincenty — mówi Jasio i kładzie palec na ustach na znak tajemnicy — chcę zrobić Amerykę w klasie! — i opowiada mu

swoje plany. Pan Wincenty zastanawia się chwilę, głową kiwa to w prawo to w lewo, a w końcu daje chłopcu radę:

— Wiesz co Grzybku, zrób lepiej Amerykę u siebie w domu — i znowu bierze Jasia za kołnierz i tak go znosi ze schodów, stawia na ulicy i drzwi za nim zamyka.

— Teraz jest piąta, do widzenia za 3 godziny. Jaś stoi na środku drogi i myśli:

— Co tu począć!?

Do domu wracać nie było poco, bo jego tatuś i jego mama poszli już na robotę. Zakręcił się więc na pięcie, i zaszedł do Julka. Julek już wstał. Jaś pomógł mu czyścić buty, posprzątać izbę i zjeść śniadanie. Potem zabrali książki szkolne i wyszli. Poszli w pole, W drodze spotkali przepiórkę w zbożu, spłoszyli zająca igrającego w kapuście i jakiegoś dużego ptaka, który usiadł na przydrożnym krzaku. Jaś był wrażliwy na piękno. Wzięli się z Julkiem za rękę i zaczęli mówić o pięknościach i cudach dalekich krajów.

— Tam u nas w Ameryce — prawił Jasio — ljany wiją się między drzewami i oplatują je tak gęsto, że przejść nie można, a na tych ljanach siedzą chrząszcze tak duże jak twoja pięść, motyle tak ogromne jak sikorki i różne cudne ptąki!

— Papugi?

— I papugi!

Nagle od prawdziwej Ameryki myśl jego przefrunęła do izby szkolnej, gdzie chciał urządzić drugą Amerykę i do tej nowej pani, o której mówiono, że przybyła z daleka.

Jaś ma pomysł! Skoro nie dają mu zrobić sztucznego skwaru, to on już wie, co zrobi.

Oprócz brzęczących owadów, oprócz ptaków, które wyśpiewywały radośnie na powitanie dnia, oprócz roślin i chmur baranków na lazurowem niebie — nie było tutaj nikogo. A jednak dla bezpieczeństwa, aby nikt nie podsłuchał, Jaś wspina się na palcach do ucha Julka i zdradza mu tajemnicę, a drugie ucho Julka zatyka rączkami, aby tajemnica na przestrzał nie wyleciała!

Julek słucha uważnie... czerwona łuna radości oblewa jego policzki, uśmiechają się jego oczka i jego buzie, rączki klaszczą a nóżki skaczą.

— Świetnie, świetnie! Żeby się tylko nikt o tem wcześniej nie dowiedział. I Julek obejrzał się z trwogą, czy przypadkiem kto nie podsłuchuje. Ale szczęściem pszczółki były zajęte zbieraniem miodu, koniki polne wesołemi pląsami, kwiatki szumem wiatru a cała ziemia chłonięciem ciepłych promieni słońca.

Jaś i Julek mogli się cieszyć, nikt nie podsłuchał ich tajemnicy.

W klasie było cicho dobrze. Pani stała na podwyższeniu i tłumaczyła dzieciom jakąś nową lekcję rachunków. Adaś jej jeszcze nie rozumiał, ale Maciuś pojął ją i tak się tem ucieszył, że aż w ręce klasnął. Inni chłopcy podparli głowy rękami i słuchali uważnie. W tem coś przerwało ciszę! Był to głos papugi:

— Kakadu, kakadu!

Pani obejrzała się, skąd ten głos pochodzi.

Położyła palec na ustach i rzekła:

— Chłopcy, tu się któryś z was zapomniał, jesteście w klasie i to podczas nauki.

Ale, zanim słowa przebrzmiały, zawołała druga i trzecia papuga:

— Arra... arra!

— Lorra.. lorra!

I naraz całą klasę wypełniają ich głosy. Tuż pod oknem siedzi jakieś wątłe kakadu, o tak cienkim głosiku, że życzyć mu należy, aby więcej jadło: tam przy drzwiach woła ich ochrypłym głosem nielada „ptaszek", o tęgich barkach i silnych płucach, a tu koło pieca i tam po kątach odzywają się piskliwe i krzykliwe różne inne kakadusiątka.

Pani zbladła i milczy. Jaś się zachwyca i zaciera ręce z uciechy, bo mu się Ameryka w klasie znakomicie udała, a chłopcy patrzą na niego, jak orkiestra na kapelmistrza i słuchają jego rozkazów. Muzyka ich grzmi wciąż:

— Arrrra..

— Lorrrra...

— Kakadu...!

Gdyby tu jeszcze urządzić sztuczne lasy dziewicze i gdyby dano mu zrobić skwar w klasie, tak jak zamierzał, tutejsza Ameryka byłaby łudząco podobna do tej prawdziwej.

— Arrrra...

— Lorrrra..

— Kakadu...!

Cieszy się Staś i Zygmuś, cieszy się Jaś i Franek, cała klasa jest podniecona i wszyscy widzą z miny pani, że wcale nie oczekiwała tej niespodzianki.

Pani chce uczyć, ale nie może; zamiast tego, że dwa a dwa to cztery, odpowiadają jej papugi swoim dzikim językiem:

— Arrrra...

— Lorrrra...

— Kakadu...!

— Czy pani jest przyjemnie? czy pani jest zachwycona? myśli młodziutki autor tej dziwnej komedji.

Pani jednak milczy. Milczy, bo musi ochłonać, musi odzyskać równowagę, aby móc się nie gniewać. Po upływie paru minut przemogła się i przemówiła spokojnie:

— Nie pojmuję waszego figla.

— Arrrra...

— Lorrrra...

— Kakadu...! — odpowiedziały jej na to papugi.

— Nie pojmuję waszego figla — powtórzyła pani już podniesionym głosem — czy nie wiecie, że mam was nie tylko uczyć, ale i wychowywać, lecz nie na papugi, a w tem mojem dziele wy mi macie dopomóc!

— Arrrra...

— Lorrrra...

— Kakadu...!

— Czy wiecie, że te krzyki — to lekceważenie mojej pracy nad wami, moich dobrych zamiarów? Czy wiecie, że ci, którzy przerywają bieg lekcji, popełniają czyn niegodny obywatela?

Tym razem nie odezwała się żadna papuga i dopiero w tej chwili zrozumiała klasa, że pani nie jest zachwycona. „Arrrra, lorrrra, kakadu“ poszło w kąt, a Jaś siedział w ławce z nisko spuszczoną głową, bo on jeden tylko był winien. Parę dni temu rozpoczął się rok szkolny, a on zaraz na początku zrobił głupstwo, takie ogromne głupstwo, które teraz dopiero zrozumiał. Nisko spuszczona główka zwolna zaczęła się podnosić, potem zerwał się nagle i uniósł dwa palce, prosząc o głos; było mu pilno, bardzo pilno, musiał się przyznać do nieumyślnej winy.

— To ja namówiłem chłopców, oni najpierw nie chcieli, bo są grzeczni, ale ja im mówiłem, że pani się będzie cieszyła, gdy zrobimy Amerykę w klasie.

— Tak? — rzekła zdziwiona pani — to jest ta Ameryka, którąś mi obiecywał, ale powiedz mi Jasiu, czemuś chciał ją urządzić?

— To miała być przecież pouczająca.. przyjemność dla całej klasy, a dla pani i dla mnie przypomnienie naszego zamorskiego kraju.

— Mam do was prośbę — rzekła pani. Gdy jeszcze zechcecie urządzić „pouczającą“ przyjemność, to nie róbcie tego bezemnie. Chodzi mi o to, że chcę odrazu tę przyjemność zrozumieć i wziąć w niej udział, a także i o to, że nie może ona mącić szkolnego ładu. Musicie mi to przyrzec.

— Tak!

— Tak!

— Przyrzekamy!

— Wierzę wam — odrzekła nauczycielka — a teraz kończmy lekcję.

Zaraz zapanowała cisza w klasie, bo chłopcy chcieli wynagrodzić wyrządzoną pani krzywdę, więc z wytężoną uwagą przysłuchiwali się jej słowom.

Po nauce zwróciła się pani do Jasia.

— Nigdy nie byłam w Ameryce, a ojczyzną moją jest Małopolska, papugi jednak znam, te skrzydlate, które ludzie u nas trzymają w klatkach i te „na niby“, które obsiadły szkolne ławy.

— Jakto, pani nie była w Ameryce — krzyknął Jaś wielce tem oburzony, że się ktoś jego Ameryki wyparł. — Pani nie urodziła się w Nowym Jorku, pani nie była dzieckiem tamtejszego Polaka lekarza, pani nie wracała ze mną do Europy i nie opowiadała mi bajki o Złociuchu?

— Nie, nie, Jasiu, to nie ja byłam.

Jaś jednak nie ustępował.

— A pan dyrektor nam mówił, że pani przyjeżdża z bardzo daleka.

Nauczycielka podeszła do tej samej mapy, o której Heniuś wiersz napisał i wskazała na Lwów:

— Patrzcie chłopcy, stąd jestem rodem i stąd do was przybyłam.

Dr. Zygmunt Ziff.

List pierwszy o higjenie.

Podjąłem się zadania na łamach tej milutkiej gazetki przemawiać do Was, pisać artykuliki, któreby Wasz umysł zajęły, a temsamem i pewną korzyść przyniosły.

Czytając mój artykuł, myślcie o mnie, jako o swym dobrym, starszym przyjacielu.

Opowiem Wam dzisiaj, dziatki kochane, o największych wrogach ludzi z punktu widzenia lekarskiego i jak się przed niemi bronić mamy.

Gdy idziecie latem do parku i widzicie piękny świat roślinny, czy pomyślelibyście, że istnieją i takie rośliny, które są naszymi najgorszymi wrogami i czyhają dniem i nocą na naszą zgubę? Nie! — A jednak tak jest! Rośliny te nie są jednak podobne ni do pięknych drzew, ni do barwnych, woniejących kwiatów, nie mają korzeni

zapuszczonych w ziemię, a są tak małe, że ich oko ludzkie wogóle dostrzec nie może. Potrzebny jest do tego przyrząd, składający się z całego szeregu szkieł powiększających, który powiększa przedmioty w nim widziane kilkaset, a nawet kilka tysięcy razy. Tylko tym przyrządem, tak zwanym mikroskopem, możemy dostrzec owe rośliny. Zowią się one bakterjami, a mówimy o nich, że są mikroskopijno małe.

Z czegóż żyją te rośliny, skoro nie mają wogóle korzeni i nie mogą ciągnąć soków ze ziemi? Skoro Wam odpowiem na to pytanie, zrozumiecie odrazu, dlaczego one są takiemi szkodnikami. Roślinom tym potrzebne są do życia soki pochodzące z organizmów żyjących, a więc i ludzkich. Zazwyczaj unoszą się one w powietrzu i dostają się do człowieka przez oddychanie, lub usadowione są na różnych przedmiotach, zwłaszcza zanieczyszczonych i przenoszą się przez dotyk. Dopiero dostawszy się do organizmu ludzkiego zaczynają się rozwijać i pomnażać, czerpiąc jego soki. I teraz zaczyna się kółko błędne. Bo czem więcej się rozwijają, tem więcej trzeba im tych soków, i naodwrót, czem więcej soków pochłaniają, w tem lepszych warunkach się znajdują i tem lepiej się rozwijają.

Napewne zapytacie się teraz: A cóż to szkodzi człowiekowi, skoro taka mikroskopijno mała bakterja żyje z jego soków? I tak mu dość zostanie! — Takby też było, gdyby nie to, że do organizmu ludzkiego dostają się odrazu miljony i miljardy bakterji, które żyją ze soków potrzebnych człowiekowi, a tem samem powodują choroby, niejednokrotnie bardzo ciężkie.

Nie myślcie jednak, moje dziatki, że wszyscy ludzie są skazani na zagładę przez chorobotwórcze bakterje. Musimy się bronić i możemy się bronić skutecznie. A tą naszą bronią jest higjena ciała i życia codziennego, o czem Wam szerzej napiszę w liście następnym.

SZEM-TOB.

Król Og.

Baśń biblijna.

Na rozkaz Boży budował Noe korab z drzewa, do którego miał się schronić, gdy potop nawiedzi świat cały. Budowa tego okrętu trwała 120 lat. Przychodzili wtedy do niego wielkoludy, synowie Anaka i pytali się, nad czem on tak pilnie pracuje. A on na to: Buduję

wielki okręt, bo nastanie z powodu waszych grzechów straszny potop, który zatopi wszystko, co żyje na świecie. Wielkoludy śmiali się ze słów Noego. Co to za potop będzie — rzekli — gdy wystarczy schronić się do takiego kurnika, by być bezpiecznym? Owszem, niech już raz przyjdzie ta powódź, będzie wspaniała kąpiel.

Wreszcie nastał potop i Noe ze swoimi schronili się do arki. Weszły tam również wszystkie rodzaje istot żyjących po jednej parze z każdego rodzaju. Otworzyły się śluzy niebios, ulewny deszcz szalał bez przerwy w dzień i w nocy, rzeki i morza wystąpiły z brzegów i zalały całą ziemię. Wielkoludy uciekli na szczyty wysokich gór, ale powódź podążyła za nimi i wszyscy potonęli.



Jeden tylko młody olbrzym Og, ze synów Anaka, uczepił się arki, pukał i prosił Noego, by go wpuścił do korabia. Noe jednak nie mógł go wpuścić, jakkolwiek żal mu było chłopaka, bo sam Pan Bóg zamknął okręt. Biedny Og widząc, że krucho z nim, skoczył na dach korabia i tak przetrzymał czas strasznego potopu.

Niebawem zaczął mu dokuczać głód. Młody Og poradził sobie jednak.

Gdy arka pędziła po wodzie, gnana wiatrem i prądami morza, koło Libanu, uchwycił ręką szczyt drzewa cedrowego i wyrwał je z korzeniami. Następnie nożem poobcinał gałęzie i zrobił sobie duży kij. Przeszukał swoje kieszenie i jak zwykle u chłopców, znalazł długi sznur i kilka zakrzywionych gwoździ. Przywiązał do kija sznur, a do niego znów zakrzywiony haczyk i miał gotową wędkę. Teraz leżąc na dachu arki, przez cały dzień łowił ryby, suszył je potem na dachu i spożywał z wielkim apetytem. Tak spędzał czas potopu i nie nudził się wcale

Minęły miesiące, zaświeciło znów słońce i ogrzało ziemię. Wody powysychały, zazieleniły się pola i łąki. Nareszcie Pan Bóg kazał Noemu opuścić korab i wszystkim stworzeniom. Og zeskoczył również

z dachu okrętu, przybiegł do Noego, pokłonił mu się grzecznie i pozdrowił go wesoło: „Dzień dobry Ci panie Noe“!

Młody Og wstąpił teraz do służby Noego. Wszyscy domownicy zabrali się raźno do pracy około budowy nowego domu, a Og przyniósł ogromne kłody i ciężkie głazy i niebawem dom był gotowy. Następnie zaorał zagon i zaszczepił winnicę. Olbrzym rósł tymczasem i stawał się z każdym dniem większy i silniejszy, a z nim rósł także i jego apetyt. Jadł wszystko, co mu się tylko w ręce dostawało, surowe i gotowane, miękkie i twarde Kilkanaście bochenków chleba, ćwiartkę wołu, beczułka wina, to było tylko skromną przekąską przed obiadem. Noe nie mógł też temu żarłokowi dostarczyć tyle jadła. Wymówił mu więc służbę i odprawił nienasyconego młodzieńca.

Og poszedł teraz na własną gospodarkę. Wyrwał z lasu najgrubszy dąb, zrobił sobie z niego maczugę i poszedł na polowanie. Tak stał się myśliwym, bujał po lasach i górach, a ponieważ zwierzyny było wtedy dosyć, żył bez troski.

Wieki minęły, ludność rozmnożyła się znowu na świecie, powstały liczne narody i królestwa. Og z młodzieńca wyrósł na dojrzałego mężczyznę. Zbierał sobie zewsząd silnych i rosłych ludzi i został ich wodzem. Wyszukał sobie urodzajną dolinę Basanu nad Jordanem. Tam się osiedlił i założył swoje królestwo. Zbudował sobie stolicę, a w niej wzniósł dla siebie ogromny zamek.

Król Og był postrachem wszystkich sąsiednich krajów. Każdy drżał przed jego siłą. Porywał tysiace ludzi i trzymał ich u siebie jako niewolników. Codziennie robił olbrzymiemi krokami setki mil. Jednym skokiem przekraczał wysokie góry, szerokie i głębokie rzeki, gęste lasy. Cokolwiek na drodze spotkał, należało do niego. Z boku nosił torbę jak zwykle myśliwi. Do niej wszystko chował i zanosił na swój zamek. — Tu zobaczył krowę, tam lwa, lub słonia, chwytał je i pakował do torby, aby mieć co jeść. Tam znów spotkał chłopa, orzącego pługiem, do którego zaprzężona para wołów, Og znów wszystkich wsunął do torby.

Innym razem zatrzymał kilku jeźdźców w pustyni. Chcieli się bronić, ale nim się oglądnęli, już siedzieli wraz z końmi i wielbłądami w torbie, a wnet byli też na zamku potężnego olbrzyma. I tak żył król Og spokojnie dużo lat, państwo jego było najpotężniejsze, a każdy bał się go.

Pewnego razu weszło do jego państwa dwunastu mężów. Straż sprowadziła ich do króla. Og patrzył na przybyszów ze zdziwieniem, nigdy przedtem nie widział takich ludzi. Roześmiał się na ich widok i z lekceważeniem rzekł: „Puśćcie ich, cóż nam z takich istot, wszak to nie są ludzie, lecz taki rodzaj szarańczy“.

— Cóż to byli za ludzie?

Było to 12 wywiadowców, których Mojżesz wysłał do Kanaan.

* * *

Przez puszczę nadciągnął jakiś wielki lud i zbliżał się do granic Basanu, królestwa Oga. Wędrowcy ci ruszyli z pustyni Synajskiej, gdzie przebywali przez 40 lat. — Siedm gęstych obłoków otaczało ich przed niebezpieczeństwami w dzień i w nocy. Ponieważ w pustyni nie znajdziesz nigdzie wody, ani pożywienia, zbierali codziennie wędrowcy jakiś cudowny chleb, a skała dostarczała im zawsze świeżutkiej wody.

* * *

Król Og obchodził właśnie swoje ośmsetne pięćdziesiąte urodziny. — Wstał rano bardzo dobrze usposobiony. Poddani i niewolnicy złożyli mu hołd. Og łaskawie spojrzał na swój wierny lud i obiecał wydać im sutą ucztę. Sam zaś wyszedł, aby odetchnąć świeżem powietrzem.

Dzień był cudowny, słońce wiosenne uśmiechało się do odrodzonej ziemi. Jordan snuł się, jak srebrna wstęga pośród urodzajnych pól, pachnących balsamiczną wonią łąk i bujnych kwiecistych winnic.

Król zwrócił swój wzrok ku pustyni i nagle zauważył tam jakieś wysoko wznoszące się tumany i obłoki. Natężył bystry wzrok i ujrzał niezliczone tłumy, które w nadzwyczajnym pośpiechu się poruszały i jakoby wielkie mrowisko zbliżało się ku granicy jego państwa.

Nie do pojęcia było dla niego, skąd się wzięło to wszystko. Czekał chwilę, przypatrywał się uważnie, namyślał się, jakby sobie coś przypominał.

— Aha! już wiem, przecież ci są podobni do owej szarańczy, która była u mnie niegdyś. A tom głupstwo zrobił, żem tych dwunastu maluczkich wtedy puścił żywcem — teraz oni mi tu sprowadzą całą chmurę tych owadów. Istne mrowisko — gotowi mi jeszcze zniszczyć moje winnice. Og się namyślał, co zrobić. Niebawem rozpogodził oblicze. Błysła mu bowiem cudowna myśl. Grożąc palcem w stronę pustyni, zacisnął wargi i rzekł: — Pokaże wam król Og, co potrafi.

Postąpił kilka kroków naprzód i był już koło Libanu, uchwycił rękoma olbrzymią górę i wyrwał ją z ziemi. Podniósł ją, ale ponieważ niewygodnie mu było dźwigać, włożył ją sobie na głowę i przytrzymał rękoma, tak jak robotnicy noszą kosze na głowie.

Z tą wyrwaną górą zwrócił się ku pustyni i chciał całą górę ze szczytami, skałami i głazami rzucić na mrowisko ludzi.

Góra była jednak w środku wydrążona, były tam długie nory i jaskinie. Gdy dźwigał ten ciężar na głowie, przełamała się krucha

ziemia i przesunęła się góra przez głowę na szyję, zatrzymując się na barkach olbrzyma jak jakiś olbrzymi kołnierz. Og chciał górę podnieść przez głowę, ale nie mógł, bo miał pokaleczony nos, uszy i szczękę. Wpadł więc w straszliwy gniew, skakał jak opętany i wydawał ryki



ze złości, że aż ziemia zadrżała. Zdawało się, że z Libanu biją gromy, a echo rozlegało się hen, aż do morza Wielkiego.

* * *

Lud z pustyni był coraz bliższy, a wódz ich przybiegł do olbrzyma z ogromną dzidą w rękach. Był to rosły mąż, dziesięć łokci wysoki, a dzida, którą podnosił, również miała dziesięć łokci. Przybiegł do Oga, podskoczył i ostrą, ogromną dzidą uderzył i — skaleczył go... w same kolano.

— Ach, jakaż znowu mrówka ukąsiła mnie w kolano! — wrzasnął doprowadzony do wściekłości Og i podniósł nogę, aby ręką usunąć mrówkę lecz, dźwigając olbrzymi kołnierz na szyi, stracił równowagę i runął jak długi na ziemię. Olbrzym szamotał się, chciał się podnieść, ale cały lud, tysiące zbrojnych przyskoczyło do niego i każdy siekł ostrym mieczem. Krew olbrzyma trysła jak ze źródła. Og rzucał się,

wrzeszczał, ale przez upływ krwi stawał się coraz słabszy, aż umilkł zupełnie i przestał żyć. Tak skończył król Og, ostatni z synów Anaka.

Pokonawszy króla Oga, Mojżesz i Izraelici zdobyli niebawem całe jego państwo.

Wierny pies.

Żył raz w Indjach bogaty pan. Posiadał dużo pól, łąk, ogrodów i piękny dom. Miał i dziecko jedyne, które kochał ponad wszystko. Było ono chłopczykiem, nazywało się Robert. Matka jego umarła, gdy miał pół roku, a ojciec musiał dla biednego Roberta przyjąć piastunkę; ona go też pielęgnowała i nosiła na rękach.

Pewnego dnia w jesieni wyszedł ojciec na polowanie. Piastunka chciała skorzystać z nieobecności pana i przejść się sama po ogrodzie. Włożyła więc małego Roberta do kołyski i odeszła. Dziecko było zmęczone i zasnęło. W pokoju pozostał tylko obok kołyski wierny pies, który się nazywał Dżok.

Piastunka odchodząc zamknęła wprawdzie drzwi, ale zapomniała o oknach.

W Indjach żyją duże węże. Taki duży wąż wkradł się po cichu do pokoju przez otwarte okno i zbliżał się do kołyski. Gdy to ujrzał Dżok rzucił się w jednej chwili na pomoc dziecku. Silny wąż bronił się, obwinął się mocno naokoło ciała psa i gryzł go w szyję. Dżok wył straszliwie z bolu, ale bronił zaciekle dziecka.

Wycie psa usłyszała piastunka zdaleka. Przybiegła więc prędko do domu i wpadła jak piorun do pokoju.

Na szczęście nie stało się dziecku nic złego, tylko biedny Dżok leżał bez życia obok kołyski. Pokonał on bowiem i zabił podstępnego nieprzyjaciela w ciężkiej walce, ale potem sam zginął od ukąszenia.

Wkrótce wrócił ojciec do domu. Dowiedziawszy się o wszystkiem, wziął Roberta na ręce i cieszył się bardzo, że dziecko ocalało.

Wiernego psa kazał pochować w ogrodzie, usypać mu grób i wystawić kamień z napisem: Tu spoczywa Dżok, który zginął w obronie mojego Roberta.

Roztrzepaniec.

Pewien chłopaczek — nie powiem imienia —
Znany powszechnie z swego roztargnienia,
Szukał wciąż czapki po domu, ogrodzie,
W krzakach. komórkach, na stole, w komodzie.
— Gdzie moja czapka? — wołał sfrasowany —
Pewnie ją schował braciszek kochany,
Albo siostrzyczka, strojąc figieleczki,
Proszę poszukać mi mojej czapeczki!
— Zamiast czas tracić — ojciec na to powie —
Sięgnijno ręką, ona na twej głowie.

I w świecie także częstokroć szukamy
Tego, co bardzo blisko siebie mamy.

Konsul rzymski.

U Rzymian pierwszy urzędnik Rzeczypospolitej i wódz naczelny nazywał się konsulem. Gdy zwyciężył armję nieprzyjacielską, oddawano mu cześć w ten sposób, że urządzano tryumf czyli pochód zwycięski na jego cześć.

Wjeżdżał wówczas tryumfator w pięknym powozie, zaprzężonym w cztery białe rumaki do Rzymu i ruszał w strojnym pochodzie na zamek, zwany Kapitolem.

Jeden z takich sławnych konsulów, przyjmując raz honory, jako

tryumfator, spostrzegł w tłumie ojca swojego, który był zwykłym wieśniakiem. Natychmiast zeszedł z wozu i zbliżywszy się do ojca pozdrowił go z największem uszanowaniem.

Taka była u Rzymian cześć dzieci dla rodziców.

Przyroda w marcu.

Jeszcze mamy mrozy i wiatry zimne, ale już nie obawiamy się wielkiej zimy. Lada dzień skończy się jej panowanie. Gdy tylko słonko wyjrzy, bodaj na chwilę, grzeje ono i świeci zupełnie inaczej, niż w zimie. Pod ożywczemi promieniami życiodajnego słoneczka zaczyna się wysuwać ze ziemi tysiące i tysiące kiełków roślinnych.

Patrzcie! jeszcze śnieg tuż obok, a śnieguła, albo gładyszek rozwija swe zwisłe, białe kwiatki dzwonkowate.

Za parę dni, gdy tylko słońce przygrzewać będzie, zobaczycie przylaszczki podobne trochę do fiołków, a potem ujrzycie prawdziwe fiołki, które mają taki zapach przyjemny. A teraz popatrzmy się, co się dzieje z krzewami i drzewami.

Najpierwszą rozkwita leszczyna. Na jej gałązkach są już żółtobure kotki. Dalej widać olchę ze zwisłemi, długiemi kotkami, a niezadługo zakwitnie iwa, pochodząca z rodziny wierzb.

Jeszcze nie widać w lesie ptaszków z południa, jeszcze nie przyleciały do nas, bo zimno; może już czekają na pogodę u nas — w krajach na południe od Polski położonych, ale zato krzątają się żwawo te ptaszki, które u nas zimowały.

Dzięcioły kują w drzewa:
Słychać w lesie stuk:
Puku! puku! puk!

Kują dzióbkiem dwa dzięcioły,
Ten wesoły, ten wesoły,
Bo robaczków huk!
Puk! puk! puk!

Każdy dzięcioł chwat,
Każdy suto zjadł,
To mi panie, polowanie!
Niech się dziwi świat!

Inne ptaszki mniejsze, jak sikorki, trznadle, makolągwy zaczynają już śpiewać i robi się wesoło w lesie — chociaż zima jeszcze przeziera.

Niezadługo zmieni się wygląd lasu i pól, gdy tylko pociepleje. Zaglądajcie tylko ciekawie po drzewach, ogrodach, po trawnikach i w lesie, a będziecie mieli sposobność podziwiać piękną przyrodę na wiosnę.

Kolonja wakacyjna Towarzystwa Przyjaciół Dzieci im. Dra Adolfa Liliena we Lwowie.

O Kolonji wakacyjnej w Broszniowie mówi dużo dziatwa uboga ze Lwowa i z okolic Broszniowa.

U dziatwy, która była na kolonji są najprzyjemniejsze wspomnienia z zabaw i dobrych czasów wakacyjnych. Reszta dziatwy chciałaby tam wyjechać i zasmakować w tem wszystkiem, co kolonja Towarzystwa Przyjaciół Dzieci daje swoim gościom.



Zabawa w ogrodzie (kolonja w Broszniowie).

Młodzi przyjaciele kolonji przemyśliwują nad tem, co zrobić dobrego dla kolonji.

Chłopcy ze szkoły męskiej im. Sobieskiego (klasy IV V VI VII) składają pieniądze dla kolonji do puszki Miejskiej Kasy Oszczędności na książeczkę nr. 83.873 i zebrali za 2 miesiące 25 zł.

Dziewczynki ze szkoły Kościuszki uradziły, ażeby coś uszyć dla kolonji — co? — to ich tajemnica.

Czytelnicy i czytelniczki Jutrzenki wpisują się na członków Towarzystwa, bo to nie kosztuje dużo. Dzieci płacą tylko 25 groszy miesięcznie, to jest osobna wkładka miesięczna dla dzieci.



Wspólna lektura w ogrodzie (kolonja w Broszniowie).

Rodzice i dzieci pamiętają także o Towarzystwie przy uroczystościach rodzinnych i różnych okazjach nadzwyczajnych.

Wszelkie zgłoszenia w sprawach Towarzystwa przyjmuje także Administracja Naszej Jutrzenki Lwów, ul. Janowska 26 telefon 32-31.

Uzdrowisko Dębina.

W Dębinie koło Skolego znajduje się uzdrowisko dla chorej, a ubogiej dziatwy. Tam leczy się dziatwa przez miesiące letnie i zimowe. Dla dziatwy pozostającej tam przez tygodnie i miesiące potrzeba i książek do czytania.

Kto z was, dzieci, chce zrobić dobry uczynek, niech poprosi rodziców, ażeby pozwolono wam przesłać lub zanieść książki do czytania dla chorych dzieci w Dębinie.

Książki należy składać w sekretarjacie Towarzystwa Dębina: Lwów, ul. Mickiewicza 4. oficyny II p — *Centralny Komitet sierot.*

Zagadki nowe.
(Ułożyła M. Landauówna).

Zagadka.

Jestem słówko malutkie — z nikim się nie sprzeczam,
Na wszystko się zgadzam, nigdy nie zaprzeczam.
Ale gdy mię dzieci na wspak obrócicie,
Straszny jestem skazanym, bo odbieram życie.

Szarada.

Pierwsze — przyimek znany wam przecie,
Drugie — oznacza węża,
Trzecie — znajduje się w alfabecie,
Całość nieraz wasz umysł natęża.

Bilety wizytowe.

J. Rotahsi Ch. Naruki
K. Kizyjlęop St. Kimanagy

Ułożyć z liter zawartych w nazwiskach tych profesorów przedmioty, których uczą.

Rozwiązanie zagadek z numeru 1—2, 1929.

Szarada: litera a. **Bilety wizytowe:** modniarka, dekorator, minister, parasolnik.

Program kinowy: Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Pozostają bez użytku 3 litery.

Trafne rozwiązanie zagadek nadesłali:

Trafne rozwiązanie zagadki nadesłali:

Samuelówna Zofia, Szmulewiczówna Rachela, Weinstein Meilech, Hammer Leopold, Bäckerman Szymon, Bendel Mozes, Edmund Kram, Izrael Peczenik, Karg Mendel, Grüss Emanuel, Kornweitz Samuel, Ita Rothówna, Salomon Tauchner, Tusia Brillówna, Frydzia Weisberg, Regina Nachmanówna, Rachela Stachel, Pinkas Nüssenbaum, Józef Probst, Iza Misatówna, Salomon i Oskar Horowitz, Rózia i Amalja Frenklówne, Anna Auerhanówna, Nelly Graubard, Salo Holzman, Felicja Flussówna, Itta i Herman Weinreb, Salo Mühlrad, Mendel Lehrer, Regina Zangerówna, Fancia Kalischówna, Danusia Gerstmanówna, Alfred Maibruch, Bikeles Gedale, Padwe Benjamin, Mechel Fünkel, Szymon i Dora Tauchner, Mund Chaim, Hoch Ozjasz, Haber Zygmund, Jakób Strang, Kahane Szulim, Lewander Dawid, Gedalja Zeitelbach, Salo Kohl, Arnold Badner, Kram Izrael, Aksen Maurycy, Markus Herbst, Mojżesz Knopf, Mojżesz Leistner, Engel Chaskel. Friedman Leon, Emanuel Haselnus, Bander Zygmunt, Leon Schmutzer, Blaser Eljasz, Leon Teitel, Mantel Izak, Baumöl Ozjasz, Marton Lubelski, Izak Bombach, Chaim Nick, Meisner Leon, Izrael Weinbaum, Brull Samuel, Szymon Reiman, Amalja Kurz, Izak Steiner, Emanuel Arak, Pinkas Sobel, Mojżesz Kogan, Gutt Maurycy, Dawid Susser, Auster Samuel, Mund Maurycy, Jonas Flester, Ajzik Mager, Berkiewicz-Borysowski, Markus Fühl, Tuch Bernard, Herman Schapira, Dawid Horn, Eisig Herzog, Mojżesz Blaustein, Pordes Natan, Zygmunt

Zimmerman, Mojżesz Bottner, Mojżesz Hammer, Izak Lepach, Maurycy Leitman, Benjamin Berliner, Jakób Herscher, Edmund Lewander, Majer Asderball, Filip Jitkis, Abraham Lewin, Naftali Kirschner, Albert Kriegshaber, Karol Kupfer, Samuel Lewin, Mojżesz Freiheit, Józef Gabel, Józef Arnold, Natan Bruller, Dawid Geffner, Henoch Feder, Abraham Kusznier, Zygmunt Wisman, Zygmunt Klaften, Jakób Handwerker, Salomon Grütz, Efroim Waldman, Tobiasz Reizes, Henryk Sobel, Izydor Kanner, Salomon Dukler, Oswald Reder, Rafael Trachtenberg, Jakób Gold, Mendel Kurz, Mailech Wein, B. Roth, Samuel Karl.

C. d. w następnym numerze.

Poczta Jutrzenki.

Do Tusi Brillówny we Lwowie. Jutrzenka dziękuje za piękne rysunki. Wszystkim się podobały w redakcji. Książeczkę posłaliśmy.

Do Danusi Gerstmanówny we Lwowie Jutrzence się podoba Twój list i dobre rozwiązanie zagadek. To ładnie, że tak starannie piszesz.

Do Reginy Zangerówny w Strzyżowie. Dziękujemy za list. Dobrze, że dotrzymałaś słowa rodzicom.

Do Izy Misatówny we Lwowie. Bardzo pięknie napisałaś list. Wygrałaś u nas premję, książeczkę, którą prześlemy.

Do Reginy Nachmanówny we Lwowie. Dziękujemy za list, zagadki rozwiązałaś dobrze.

Do Czytelników z Krakowa. Jutrzenkę można zaprenumerować, pisząc do administracji Lwów Janowska 26 o przesłanie czeku P. K. O.

Do Ignasia P. w Warszawie. Napisz inny artykulik. Za dużo duchów strasznych, aż baliśmy się czytać o tylu strachach.

Do Szymona Tauchnera. Dziękujemy za list. Ładnie napisałeś.

Do S. Mühlrada: Zagadki dobre. Przyjdź do Redakcji po książeczkę.

C. d. w następnym numerze.

Konkurs rozwiązywania zagadek.

1. W konkursie rozwiązywania zagadek może każdy wziąć udział kto nadeśle wycięty i wypełniony kupon do zagadek konkursowych „Naszej Jutrzenki“ z ostatniego numeru.

3. KUPON DO ZAGADEK KONKURSOWYCH „NASZEJ JUTRZENKI“.

Imię i nazwisko: ....

miejsce zamieszkania: ....

ulica i numer domu: ....

Premje wygrane

do numerów załączonych w Opowiadaniach Jutrzenki.

Ciągnienie od nr. 900 do 1210.

Nr. 901 — lalka duża. Nr. 911 — powieść p. t. Złoty Pokoik. Nr. 1.168 — piłka nożna. Nr. 1.197 — latarka elektryczna.

Wygrane premje można odebrać w Administracji Naszej Jutrzenki po przedłożeniu numeru. Czytelnicy poza Lwowem mogą nadesłać numer w liście, otrzymują odwrotnie wygraną premję.

„NASZA JUTRZENKA“ jedyne pismo polskie (ilustrowane) dla dzieci i młodzieży żydowskiej.

Numer pojedynczy 30 groszy. — Konto czekowe P. K. O. 149.547.

Telefon 32-31

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Janowska 26.

Prenumerata „Naszej Jutrzenki“ wynosi:

półrocznie z przesyłką 2 zł. — — — — — — — — — rocznie 4 zł.

Nowi prenumeratorzy otrzymują oprócz gazetki książeczkę.

Cena ogłoszeń jednorazowo:

cała strona 50 zł., 1/2 strony 25 zł., 1/4 strony 12 zł. 50 gr., 1/8 strony 6 zł. 25 gr.
Opust za 3-krotne ogłoszenie 10%. — za 6-krotne 20%, — za 12-krotne 30%.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Dawid Berlas.
Z drukarni A. Gojawiczyńskiego we Lwowie, ul. Kopernika 20. — Telefon: 28-18.